ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV Warszawa, dnia 15 lipca 1922 roku. № 28

Juljusz German. Powieść.

28) TWARZ Z ZA KURTYNY.

— I więcej nikogo—rzekł wahająco.—Rozumie się. Tylko wiedziałbym o tem pewniej, gdybym mógł spać w twych ramionach, na twoich piersiach, ogarnięty twoją obecnością, którą znam...

— I w tej, której nie znasz, wszystko jest dla ciebie najczulsze, niczem nie chce cię przestraszyć, uspokoić pragnie, utulić...

Rozbierał się w milczeniu. Rozbłysła na chwilę, gdy z wzniesionych w górę rąk opadała biel koszuli, gładka, bursztynowa smukłość młodego obnażenia.

— Będę mówił do ciebie, nim zasnę. I twój głos chcę słyszeć...

— Mów, Zbisiu, mów, co myślisz, wszystko. Wygodnie ci na tej kanapce, biedaku?

— W polu nie miał takiej i dowódca armji. Wygodnie, ale tak pusto. Pamiętasz, kłóciliśmy się zawsze o jaśka. Jedno podsuwało koniecznie drugiemu...

— Aż wkońcu leżał na podłodze zmięty, głupi jasieczek...

— Jak to dawno wydaje mi się, dawno.

— A jak cudnie się wyda na nowo.

— Ten chłopiec nademną z obrazu... Patrzy z różowego półcienia. Patrzy, jakby wydzierał się wzrokiem ze swego ciała, jak z niepotrzebnych szat. Czego szuka? Piękny jest, bez zmazy, nie razi w nim nawet ta płeć niczem nie zakryta. Nosi ją z niedbałą, nieuważającą wzgardą. A wyobrażenie jej tylko u innych, żywych mężczyzn przejmuje mnie wstrętem... Czego on szuka? Czegoś śliczniejszego, niż to, co widzi w podobnych sobie...

— Choć taki ładny. Dlatego go lubię. I kocham cię, że tak mówisz. Słyszysz, jakie gwiaździste wieści noc myślom podszeptuje? I ty się boisz ciemności?

— Ile razy podczas wojny byłem sam w mroku, który oblepiał czarnemi zwojami. Gdzieś w głuchym lesie na patrolu, albo na miejscu niedawnych walk. I nigdy, nigdy...

— A gdy ja jestem obok?

— Obok ale nie przy mnie.

— Powiedz prawdę, teraz, wsłuchany w siebie głęboko. Boisz się mnie czasem?

— Nie ciebie, nie ciebie. Nie tej, tym ciepłym głosem mówiącej, nie tej...

—Przypomnij... Wyczytałeś kiedyś w moim wzroku, wzroku narzeczonej, jeszcze nie kochanki, wróżbę o naszych istnieniach nieskończonych...

— Wtedy raz pierwszy całowałem twe usta. Takie porywy, nadziemskie jakieś, tylko w najbliższym zachwycie z tobą...

— Tylko wtedy...

— Czemuś to tak dziwnie powiedziała?

— Nic, nic, najdroższy. Uniesie cię jeszcze ten lot, odkryje jaśniej sobie samemu... Przysięgam.

Z pokoju do pokoju leciały przyciszone jej słowa, jak śnieżne płatki dobrej nowiny.

— Śpij, Lili, kochanie moje, takaś zmęczona...

— A ty już zasypiasz?

— Zamknięte mam oczy. Ogniki przed niemi tańczą kolorowe. Na jawie niema takich barw przejrzystych. Dobrze, że lampa się pali. Znowu widzę za powiekami iskry tańczące. Jakiś Grek biały majaczy mi się w oddaleniu, niewyraźnie, jak kolumna, ale twarz ma ludzką. I kwiaty czerwone... A wśród nich małe dzieciątko, z okrągłą buzią, jasnemi włoskami i palcem na ustach... śmieszne małe dzieciątko... i już nic...

Umilkł głos sennie rozlewny. Usłyszała spokojny, miarowym rytmem falujący oddech śpiącego. I w tej samej chwili, zamroczeniem senności jeszcze nie ujęta, ujrzała przed wpół przysłoniętemi źrenicami najdokładniej zarysowaną zjawę nieoczekiwanego widowiska:

Olbrzymia, płynna masa tłumu zalewa ulice, prze naprzód niepowstrzymanym, szarym potopem. Nad kłębowiskiem głów chwieją się szmaty brudno purpurowe. Tysiące twarzy siną dzikością tępo rozwartych, wykrzywionych potępieńczą pasją, krzykiem zastygłym złowrogo. Nad morzem ludzkiem schylona czarna postać Chrystusa z kamienia... widok znajomy tak dobrze... To kościół Świętego Krzyża. Wali przed siebie tłum, roztrąca, miażdży, co wpoprzek na drodze. Oto pada na chodnik młoda, ładna kobieta w białej, letniej sukni, z perłami na szyi. W zaskoczeniu zgrozy uśmiecha się wciąż jeszcze z błagalnym wdziękiem. Już depczą ją obuchy potwornych stóp, już zakrzywionemi pazurami dłoń jakaś sięga, z krwawego biustu zdziera klejnoty. Już zgniotła na strzępy lawina pochodu to, co było jej ciałem. Tam znowu na głowy dwóch, bezsilnie przytulonych do siebie starców, przypartych do muru kamienicy, spadają pięście twarde jak maczugi, i siwe włosy giną niby w topieli. Obok podrzuca w górę kłąb ramion splątanych jak ljany jakąś nagość obszarpaną męczeńsko. I chwieje się, zniża i wznosi las płacht czerwonych, szatańskich znaków mordu. A w oknach setki wybladłych, nieprzytomnych ze strachu lic... Wtem tłum się zatrzymał, osiadł, pieniąc się w bryzgach wściekłości. Naprzeciw niego wyrasta jednolitym, iskrzącym srebrno sznurem szereg bagnetów i kasków stalowych. A wśród nich połyskują lufy dział... Na ulicach Warszawy zatoczone armaty... Przed frontem żołnierzy oficer. Rzemienna podpinka hełmu ujmuje w ramy stężałej skalnie odwagi młodzieńczą twarz gladjatora. Profil Zbigniewa... i oczy, patrzące aksamitnie, teraz piorunowym gniewem półboga otchłanne. Daje rozkaz, podniósł rękę, w niej wydłużona błyskawica szabli. Co to

jest? Coś strasznego... Rozkazu nikt nie słucha. Rozsypuje się, łamie lśniący szereg bagnetów, znika czeluścią tłumu pochłonięty. Zrywa się do tryumfalnego pędu fala potwornością ogromna, przewala się przez złudę przeszkody masa ociekająca bluzgiem zniszczenia. Sam jeden Zbigniew. Najsamotniejsze bohaterstwo w licach, oczu panieńskich spojrzenie przesmutne. Nim tysiąc rąk szarpiących zabójczo go schwyci, nim jedno dotknięcie mundur brudem splami, błysk ruchu dostojnego rycersko... We własne czoło uderza grom jedynego żołnierskiego wystrzału. I na lufę armatnią stacza się podcięty, rozkrzyżowanem opasuje ją ciałem. Tłum zwycięski bez walki pognał dalej, splotami wężowiska rozlał się szeroko. Na opustoszałym placu przed kościołem porzucone działa... Z kamiennych stopni schodzi małe dzieciątko z okrągłą twarzyczką i jasnemi jak zboże włoskami. Rozgląda się spłoszone, nierozumiejące. Przebiega w różne strony, jakby zgubionych rodziców szukając. Zatrzymuje się nagle na środku ulicy i patrząc w gasnące oczy oficera, kładzie palec na niewinnych usteczkach...

Obraz zakołysał się, w półświetlistych barwach znagła się roztopił, znikając prędzej, niż się zjawił.

Lili zerwała się z posłania. Usta jej rozwarły się do krzyku. Zgasło wołania ledwo rozpoczynające się brzmienie, gdy usłyszała obok spokojnym rytmem miarowy oddech śpiącego Zbigniewa, ujrzała jego twarz od snu łagodnie spłonioną. Z uśmiechem wdzięczności opadła na wezgłowie.

— Nigdy nie powiem mu o tem przywidzeniu czy półśnie ani jednego słowa — postanowiła, zamykając powieki i drugiem widzeniem wgłębiając się w ciemność drgającą. — Nigdy, póki będę przy nim, póki będę tutaj... Bo oglądałam to, na co patrzeć nie będę już, żywa... Ale przecież i on, i on także... choć wydaje mu się to zmyśleniem i nieprawdą, choć całą młodością ucieka od pojęcia, że mnie to grozi... I on, i on także... — oświecił ją powiew myśli rzeczywistością przyszłą bezlitosnej a zarazem przedziwnem ukojeniem lotnej.

— Tak, nic, nic mu nie powiem, chłopcu mojemu biednemu...

Bezwład senny ogarniał ją coraz silniej. Ulatujący promień zwykłej świadomości błysnął ostrem upewnieniem:

— Broniczowi powiedziałabym wszystko. Przeniósłby ten ciężar bez trwogi. Jemu zawsze jestem jedna, tasama. Dlaczego dziś przy nim zaczęły wydzierać mi się z mroku światła nieznane? Że go już nie zobaczę, istniejąca tak, jak teraz? Że to był dzisiaj raz ostatni?

Nawet ta myśl nie poderwała jej z wielkiego znużenia. Uśmiechnęła się z prośbą ogromną do kogoś. Nie wiedziała, do kogo. Czuła, całą istotą, że blizko niej ktoś był.

W uśpionem mieszkaniu zaległa cisza.

Przerwał ją cichy szmer, zdala od saloniku i sypialni, w końcu korytarza.

Jakaś postać smukła i zwinna przesuwała się ostrożnie, dech tłumiąc w piersiach, stąpając z jak największą przezornością na końcach palców. Zatrzymała się przed jednemi drzwiami, przyłożyła do nich ucho, skrobnęła w nie delikatnie jak mysz, próbowała zaglądnąć przez dziurkę od klucza. Stała w drżącem niezdecydowaniu ze zwieszoną głową, przyłożyła ręce do tłuczącego się serca. W końcu w gwałtownej determinacji pocisnęła klamkę, opierając się na niej z całej nocy, pilnując, by drzwi najmniejszem skrzypnięciem nie jękły. Rozchyliła się na ciemny korytarz szpara bladego światła, idącego odblaskiem zimowej nocy za oknem.

— Kto tam? Co to?—zaszeptał rozespany głosik Hanki.

— Nie piszcz... nie przestrasz się... to ja, Józek...—spłynął wiew słów nieśmiałych, o zuchwałość kuszących się próżno.

— Boże w niebie! Nieszczęście stało się jakie, czy co? — załkał rozdygotany przerażeniem głos dziewczyny.

— Nie krzycz, jeszcze pobudzisz wszystkich. Żadne nieszczęście. Wszystko dobrze. Tylko chciałem cię zobaczyć...

— Czyś do cna oszalał? Zobaczyć po północy... Wynoś się, idź, idź w tej chwili! Skądeś się tu wziął? Gdyby kto widział, Matko Najświętsza! I ani krokiem do mnie nie podchodź!...

Zacisnęła kołdrę na ramionach, trzęsąc się w zdumionej rozpaczy.

— Ani krokiem, ani krokiem — bąkał zmieszany, trzymając się niepewnie uchylonych drzwi. — Nie zjem cię przecież, ani nie uduszę. Już beczeć zaczyna. A to płaksidło nieznośne. Mówiłem ci przed kilku dniami, że zrobię coś takiego, czego nie będziesz się mogła wcale spodziewać...

— Jak złodziej zakradłeś się, jak złodziej... Idź mi zaraz precz...

— Jak złodziej—jęknął z gorzkim wyrzutem. — Wślizgnąłem się, co prawda, przez kuchnię, gdy nikogo nie było. Czatowałem z podwórza. Stałem od pół do dziesiątej w kącie za szafą, gdzie tyle pudeł od kapeluszy. Przykucnąłem do ziemi. Ani rąk ani nóg rozprostować nie mogę. Jedno oko mnie nie ujrzało. Przechodzili koło mnie i major i kucharka. I tyś ze dwadzieścia razy przeleciała jak fryga. Już mi ręka wyskakiwała, żeby za sukienkę cię szarpnąć. Ale pomyślałem, żebyś mnie zaraz z wrzaskiem wygoniła. Czekałem, aż całkiem wszystko się uciszy. Jeszcze niedawno rozmawiali w saloniku. W nocy to słowa jak z pod ziemi wychodzą. Cztery godziny tak czekałem... żeby ciebie zobaczyć, Haneczka... Zły dzidziusiu...

Głos zmiękł mu proszącą, nieuczoną, łzami wezbraną pieszczotą.

W śniadej twarzy Hanki ciemny szafir oczu błyszczał żarem rozpalonych węgli.

— Wczoraj żeś mnie nie widział? I prawie każdego dnia, choć na chwileczkę wylatuję. To musisz tak przychodzić. Że się ze wstydu pod ziemię nie zapadniesz... Gdybym wiedziała, żeś taki, tobym w życiu ani słowa do ciebie nie wyrzekła. I już nie powiem, jak zaraz, ale to zaraz nie pójdziesz...

— Za to, żem tyle godzin pokurczony się męczył...

— Sameś chciał, jam cię nie prosiła.

— Takie gorąco idzie od ciebie... I kwiatów tu niema, a tak pachnie...

Postąpił krok naprzód.

Stanęła równemi nogami na łóżku, i jedną ręką przytrzymując ciasno kołdrę wokół ciała, drugą sięgnęła do szyby okiennej. Nad smagłemi ramionami powiały groźnie długie, hebanowe, splecione na noc warkocze.

— Idź, ty djable, bo z okna się rzucę!

Chłopak szarpnął się, dłonie wzniósł do góry, zastygł nieruchomo w miejscu. Powoli osunął się na kolana.

— To ja już jak najgorszy wróg. To ja znowu jak djabeł. To przedemną chcesz tak się bronić, żeby sobie aż coś najgorszego — szeptał zdławionym głosem. — Przedemną, któregoś pierwsza całowała... A ja żadnej innej, odkąd żyję, żadnej palcem nie tknąłem, choć i ze słyszenia i z patrzenia o babach wiem wszystko, choć nikt nie wierzy, żem się taki uchował. Przedemną— wstrząsnął się szlochem szczerej rozpaczy. — Dobrze, dobrze, już pójdę, tylko nie czepiaj się tego okna, nie czepiaj...

DALSZY CIĄG NASTĄPI.

WANDA MIŁASZEWSKA.

PIRUTA.

Silny, barczysty chłop wyrósł z tego Piruty, któremu przepowiedziała cyganka, że niesamowitą śmiercią umrze.

Piruta był wówczas małym chłopcem. Miał dziesięć, może jedenaście lat i pasał ojcowskie bydło na pograniczu dworskich pól. Nierzadko zdarzało się, że krowy przekroczyły tę granicę,—niewielkim tylko oznaczoną kopcem—i pokosztowały dworskiego owsa, na co mały Piruta chętnie zezwalał, o ile tylko karbowy nie włóczył się w pobliżu.

Któregoś dnia,—było to w czerwcu,—rozłożyli się cyganie w lasku brzozowym, przytykającym do pastwiska. Rokrocznie o późnej wiośnie przeciągały tędy bandy cygańskie i zatrzymywały się na jeden, czasem na dwa noclegi. Czarni, osmaleni ludzie ustawili, jak zawsze, namioty z brudnego płótna, rozpalili ognisko w jamie, zabezpieczonej od wiatru, i piekli przy tem ognisku jakiś piszczel barani z odrobiną przylegającego doń mięsa.

Mały Piruta zostawił krowy na łasce Opatrzności i przypatrywał się ciekawie obozowisku. Patrzył tak długo, aż wreszcie zwróciło to uwagę cyganów, którzy poczęli mu wymyślać, radząc, by sobie poszedł precz, póki ma skórę całą na grzbiecie.

— A może ty do nas chcesz przystać? To my ciebie zabierzem, zabierzem! — krzyknęła stara jakaś cyganicha i wyszczerzyła w złośliwym uśmiechu wielkie, końskie zęby.

Chłopiec cofnął się w zarośla i stamtąd patrzył dalej na obozowisko.

Tak go zastała owa młoda cyganka, dziewczyna wysoka i chuda, o przenikliwych, czarnych oczach. Niosła na plecach wiązkę chrustu, a w ręku—gliniany dzbanuszek z jagodami, które widocznie uzbierała po drodze. Podkradła się cicho i, trzasnąwszy chłopca w ramię, krzyknęła:

— Hu!

Zerwał się Piruta z pod krzaka, ale się nie przeląkł. Patrzył tylko na nią zadziwionym wzrokiem.

— Cóż ty, cyganów nie widział, a?—spytała, śmiejąc się,—co ty tu robisz?

— Krowy pasę,—rzekł Piruta.

— To twoje krowy w szkodę polazły, zobacz sam. W owies.

— Et, — machnął ręką, — niech lazą.

— Patrz, jaki łaskawy! A owies czyj?

— Pewnie, że nie tatusiowy, — odparł,—dałby ja im poprobować!

— To ty, widzę, od ziemi mało odrósł, a już mądrala! Pokaż rękę.

Piruta schował obie ręce za siebie.

— No, pokaż rękę, — powtórzyła cyganka, — powróżę. Bez pieniędzy powróżę, nie bój się, — dodała z uśmiechem, widząc, że chłopiec się waha.

Wzięła jego rękę i długi czas patrzyła uważnie, w milczeniu. Oczy jej nabrały dziwnego wyrazu. Zdaje się, zapadły jeszcze wgłąb i stamtąd świeciły ponuro, jak próchno w szczelinie drzewa. Ustami poruszała lekko, szepcąc coś sama do siebie. Wreszcie podniosła głowę:

— Jak cię wołają?

— Piruta.

— Ty, Piruta, daleko zajdziesz. Złoto u ciebie w kieszeni, drogie kamienie. Krwią ludzką to bogactwo poplamione... Będziesz ty w dostatek wszelki opływał, ale ty się strzeż, bo u ciebie śmierć wczesna zapisana. Zginiesz z ręki dziecka.

Pokiwała ponuro głową i dorzuciła, odchodząc:

— Tak, tak, krwi u ciebie na ręku dużo. Swojej i cudzej... Zapamiętaj ty sobie. Cyganka prawdę widzi.

Piruta puścił się pędem przez zagajnik. Wpadł pomiędzy swoje krowy, spędził je do kupy i skierował ku domowi, choć słońce świeciło jeszcze poprzez lasek.

Długo mu potem dźwięczały w uszach słowa cyganki, długo mu stała w pamięci jej twarz pociągła i oczy jarzące, jak węgle. Wreszcie zapomniał.

Pasał dalej swoje krowy latem, a zimą pomagał ojcu rąbać drzewo. Silny był nad podziw. Miał może trzynaście lat, kiedy spore polana rozszczepiał, jak drzazgi, ojcowską siekierą. Rówieśnicy unikali go, bo ich z łatwością na ziemi rozciągał i bił potem bez pamięci. Twarz jego, szeroka i płaska, nabierała wówczas wyrazu okrucieństwa. Widok pokonanego przeciwnika rozjatrzał go zawsze. Kiedyś uderzył kijem własnego psa tak mocno, że ten zaskowyczał żałośnie, chociaż nawykły do cięgów. Wówczas Piruta rzucił się na niego, chwycił za szyję i zdusił, aż piana potoczyła się z pyska zwierzęcia. Pies już nie skamlał, a Piruta zaciskał coraz namiętniej palce, mówiąc przez zęby z dziką zajadłością w oczach:

— Ach, ty, sobaka praklata! Ach, ty...

Kiedy go puścił nareszcie, pies nie oddychał. Piruta odszedł, kopnąwszy go nogą na pożegnanie.

Dziwne było to okrucieństwo u chłopca, tem dziwniejsze, że pochodził z cichej, białoruskiej wsi, której mieszkańcy pogodni byli, dobroduszni, bogobojni, jak cały lud tamtejszy. Piruta-ojciec, niezamożny gospodarz, chodząc dzień cały za pługiem, uśmiechał się do dalekich obszarów i błękitnego nieba. Przysłuchiwał się skowronkom, rozdzwonionym nad jego głową, albo zagadywał żartobliwie do wron, które kroczyły poważnie wślad za nim, wybierając z ziemi tłuste pędraki.

Każdy przechodzień kłaniał mu się przyjaźnie, mówiąc: „Dopomóż Bóg!", na co otrzymywał odpowiedź: „Bóg zapłać!" Poczem nawiązywała się krótka gawęda o urodzajach, o gospodarskich kłopotach, o nowinach z miasteczka. Rozchodząc się, znowu chwalili Boga i znowu stary Piruta za całe towarzystwo miał wrony w brózdach, rozdzwonione ptaszęcym śpiewem niebo i daleki poszum drzew leśnych.

Z pięciorga dzieci tylko ten jeden, najmłodszy, nie wdał się w ojca i w matkę. Na ludzi patrzył z podełba, nieufnie, z nikim się nie przyjaźnił, nikt mu też dobrego słowa nie rzucił. Gdy podrósł, dziewczęta śmiały się z niego, wydrwiwając ciężki chód i posępne wejrzenie.

— Ten Piruta, mruk,—mówiły,— całkiem nie nasz człowiek, jak cudzy!

W siedemnastym roku życia poszedł na służbę do dworu. Oddał go tam ojciec, który za młodu parobkiem był i kawałka ziemi własną pracą się dorobił. Młody Piruta zabrał z domu dwie koszule, siekierkę ojcowską i zamieszkał w jednym z czworaków. Ale i tutaj, jak we wsi, nie lubiono go.

Rano wychodził do lasu i przez cały dzień karczował. Gdy wykarczował jedną polanę, przechodził do

drugiej, trzeciej, czwartej. Zajęcie to dziwnie zgadzało się z jego ponurem usposobieniem. Czasem, gdy korzenie były splątane i grube, szamotał się z pniakiem, wszczepiał z wściekłością siekierę w żywiczne drzewo, klnąc przytem i ocierając rękawem spotniałą twarz.

W niedzielne popołudnia siadywał zwykle na uboczu, patrząc chmurnie z pod płowej grzywy na zabawy towarzyszy, przysłuchując się niechętnie rzewnym piosenkom, śpiewanym przez dziewczęta krasne i hoże, jak sama wiosna. I tutaj stał się przedmiotem naigrawań. „Piruta—mruk", albo, dla odmiany, „mruk — Piruta" szły za nim poszepty, kiedy przechodził ze swoją nieodstępną siekierą mimo gromadki dziewcząt folwarcznych.

A przecież była we dworze dziewczyna, w której się Piruta „pokochał". Pokochał się w Handzi Żukównie tak dalece, że świata Bożego za nią nie widział. Bywało—poszedł w las, do swoich karczy — machnie siekierą raz i drugi, a tu jak go coś za gardło dławi... Handzia mu w oczach stanie, jak żywa, w swojej „filutowej", marszczonej spódniczce, z warkoczem ciemnych włosów, skręconym na tyle głowy, z ciareczkami oczu piwnych i rozbieganych, niby źrebięta na łące.

Tak mu się wydała, jak żywa. Jakby tu przed nim stanęła w przesianych słońcem zaroślach, że czasem o mało nie krzyknął:

— Ej, Handzia!

Ale się wraz opamiętywał, że to—mara, zwid, że Handzia w ogrodzie grządki nasturcji piele, albo bieliznę płucze na rzece, albo, jeśli to zimą bywało, len rozczesuje i na kołowrotku zwija, pospołu z towarzyszkami. Opamiętywał się i tem wściekleje, tem zajadlej siekierą swoją w twarde karcze uderzał, im większą miał pewność, że Handzi ani w głowie jego zaloty, że sobie z niego podkpiwa, jak inne dziewczęta, a może i bardziej.

Próżno starał się zagłuszyć w sercu tę dziwną, upartą miłość. Kochał widocznie tak samo, jak zwykł był nienawidzieć: zaciekle, do szału.

Gdyby jeszcze Handzia dla wszystkich była jednaka! Ale wiedział, że mile spogląda i na tego i na owego, a już dla Rawińskiego Jaśka najsłodsze miała oczy.

— Niech on mnie w ręce popadnie, ten Jasiuk! — myślał Piruta z goryczą, widząc, jak Handzia chętnie go w tańcu wybiera, jak się z nim raz po raz, niby przypadkiem, spotyka, to na dziedzińcu, to przy studni, to przed oborą, gdy krowy z pola spędzali.

Czuł, że gdyby przyszło do zwady, pobiłby Jaśka na kwaśne jabłko, bo choć Jasiek wysoki był i mocny, Pirucie zazdrościli siły najtęższi w okolicy parobcy.

Kiedyś zdecydował się rozmówić z Handzią stanowczo. „Niechaj raz się przechyli los!"—pomyślał i poszedł szukać jej w sadzie. Gracowała ścieżkę pod oknami pańskiego dworu. Była sama.

— Handzia,—rzekł do niej, podchodząc,—powiedz ty raz, co z nami?

— To niby z kim?—spytała obojętnie, choć jej w oczach błysnęły iskierki.

— Ej, Handzia, nie na śmiech ja tu przyszedł, zapamiętaj sobie. Raz ty mnie powiedz słowo. Na zapowiedzi dam, a nie, to...

— Albo ja ci co obiecywała, ha? — krzyknęła z gniewem. — Odczep się ty, Piruta, odemnie, bo ja na ciebie i patrzeć nie mogę!

— A na Jaśka Rawińszczuka patrzyłaby, a?

— Jak mi się spodoba, to będę, a tobie nic do tego. Ot, głupi!

— Czekaj,—mruknął Piruta, odchodząc,—popatrzysz ty na Jaśka.

Od tego dnia wyraźnie szukał zwady. Sposobność nadarzyła się wkrótce. Oto dziewczęta, powiadomione widocznie o odprawie, danej Pirucie przez Handzię, zaczęły coraz zawzięciej naśmiewać się z niego. Powstała nawet jakaś urągliwa śpiewka, sklecona nawpół bez sensu, a przedrwiwająca boleśnie konkury niefortunne.

— *Trymaj Żuczku, Pirutuczku!*— wyciągały dziewczęta dyszkancikiem natrętny, jak mucha sierpniowa, refren.

W niedzielę zebrali się młodzi, jak zwykle, na tańce, przed czworakiem. Piruta stanął z boku, wedle zwyczaju, i ponurym wzrokiem gonił za Handzią, która z Jaśkiem tańcowała do upadłego. Śledził ją tak zajadle, że aż się bliżej do koła tańczących podsunął. Dziewczęta, spostrzegłszy go, zachichotały, a potem, jak na komendę, rozległ się przyśpiew:

— *Trymaj Żuczku, Pirutuczku!*

W Pirucie zawrzała krew. Skoczył między tańczących i Jaśka za ramię pochwycił.

— A to co?—spytał tamten zdyszanym od tańca głosem. Był raczej zdziwiony, niż zagniewany, ale gdy Piruta nie puszczał go, żachnął się niecierpliwie i krzyknął ostro:

— Poszedł precz!

— Bić się, to bić! — odparł Piruta chrapliwie.

Jasiek zrozumiał wkońcu zaczepkę. Puścił Handzię i oswobodzoną w ten sposób ręką silny cios w głowę przeciwnika wymierzył. Stracił jednak przy tem równowagę, z czego skorzystał Piruta. W okamgnieniu nogę mu podstawił, a rozciągnąwszy na ziemi, bić począł naoślep i bez miłosierdzia.

Z trudem ich rozdzielono, ale Jasiek był tak pobity, że go dwóch ludzi odprowadzić musiało do domu.

Nazajutrz Piruta został wydalony ze służby. Otrzymał zapłatę zgóry i rozkaz, aby się stąd wynosił coprędzej. Tego samego dnia jeszcze Piruta wyruszył do domu, zabierając swój węzełek i nieodstępną siekierę. Ludzie, którzy dotychczas mówili o nim z niechęcią, poczęli mówić z nienawiścią. Własny ojciec, powiadomiony o całem zajściu, zwymyślał go i kazał iść precz, szukać nowej służby. Byłby go może i paskiem wyłoił, gdyby nie rodzaj obawy przed tym dryblasem o nadmiernie szerokich barach i ponurem spojrzeniu. Piruta miał już wówczas dwadzieścia lat.

Przez następne dwa lata zmieniał zajęcie często, nigdzie jednak dłużej nad kilka miesięcy nie popasając. Pracował dobrze, ale wszędzie był nielubiany, wszędzie unikano go. Nigdy nie stwierdzono, by Piruta coś ukradł lub kogoś niesłusznie ukrzywdził, lecz chodziły o nim złowrogie poszepty. Ci i owi widzieli, jak bijał psy, podchodzące doń z zaufaniem; ktoś opowiadał, że raz Piruta pchnął napotkane na drodze dziecko tak silnie, iż upadło, kalecząc głowę o kamień. Wszyscy ustępowali mu z drogi bojaźliwie, gdy szedł wązką ścieżką w stronę lasu, ale go rzadko kto pozdrowił, wedle zwyczaju, bożem imieniem.

Po doznanym zawodzie miłosnym i owej bijatyce z Jaśkiem Rawińskim, w Pirucie zapiekła się jeszcze złość, nienawiść do ludzi i wszelkiego stworzenia. Ilekroć pomyślał o Handzi, pięści zaciskały mu się kurczowo i czuł w sercu dławiący go żal, podobny raczej do buntu. Czasem napastowały go myśli, że ona jednak mogła być jego— i wówczas nie mógł darować sobie, czy światu, że się tak nie stało. Harmonja i piękno drażniły jego oczy. Z rozkoszą niemal wyrzucał z gniazd napotkane pisklęta i przypatrywał się potem, jak rodzice z żałosnem ćwierkaniem krążyli w pobliżu zburzonego domu. W lesie kopał nogami grzyby, a widok mchu, splamionego ich miazgą sprawiał mu jakieś dzikie zadowolenie.

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

22) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Pokojówka przyniosła herbatę. Lydja wypytywała Sawinskiego o rodzinę. Czy był zadowolony z pobytu w Finlandji? A dzieci, czy były zdrowe?

Sawinski aczkolwiek wzburzony, zauważył, że było coś zmienionego w sposobie, w jaki się wyrażała. Było to coś prawie nieuchwytnego. Mówiła bardzo przyjaźnie, ale jakby z pewną powściągliwością, z pewnym konwencjonalizmem, co było rzeczą nową pomiędzy nimi.

Sawinski udzielił jej szczegółów o życiu, jakie prowadziła w Finlandji jego żona z dziećmi, i o niecierpliwości, z jaką Borys wyglądał powrotu do Piotrogrodu. Opowiadał, jak ciężko było Soni trawić dni tak zdala od niego, z nieustanną troską o męża. Mówił dosyć długo, nie patrząc na Lydję, a gdy skończył, podniósł na nią oczy. Spoczywała wpół leżący na sofie; włosy czyniły jej złociste posłanie. Ale uderzyło go, że usta miała ściągnięte, jakgdyby pod wpływem cierpienia.

Nie, stanowczo, atmosfera tego pokoju była ciężką. Było coś niepojętego pomiędzy nimi, czego tajemniczy ciężar czuli oboje. Zapewne należało to przypisać oświadczynom Lorda Douglasa, którą to sprawę trzeba było ostatecznie poruszyć. Sawinski wskoczył w nią, jak człowiek, który postanowił skończyć z życiem, wskakując w przepaść z zamkniętemi oczami.

— Jakże sie pani zapatrujesz na Lorda Douglasa, Lydjo Siergiejewno? — zapytał. — Rozmyślałem długo nad tem, co mi pani powiedziała.

Lydja wyprostowała się, utkwiła w nim spojrzenie, jakgdyby chciała zajrzeć w głąb jego duszy, i rzekła nagle:

— A pan jak się zapatrujesz na Lorda Douglasa, Mikołaju Władymirowiczu?

To pytanie było tak nieoczekiwane i wytwarzało taki bezpośredni związek pomiędzy Lydją, Lordem Douglasem i Sawinskim, że ten zdumiał.

Nastąpiło krótkie milczenie; poczem Sawinski, przemógłszy się, nie śmiejąc spojrzeć na Lydję, która natomiast nie spuszczała z niego oczu, rzekł:

— Myślę, Lydjo Siergiejewno, że w okolicznościach, w jakich się znajdujemy, nie masz pani prawa odrzucać go.

— Jesteś pan pewnym, że to pańskie istotne przekonanie? — rzekła czystym głosem. — Nie trzeba mnie zwodzić, Mikołaju Władymirowiczu. Zważ pan na to. Pan wiesz, że przywiązuję do tego wielką wagę, co mi powiesz. Proszę pana, dobrze waż twoje słowa. Zaciężą one bardzo na mojem postanowieniu. Więc niech się pan dobrze zastanowi. Mój ojciec powiedział mi to samo. Zapewne powtórzył to panu także, a może wpłynął na pana... A ja chcę usłyszeć pana, a nie jego przez pana.

Ożywiła się w szczególny sposób, mówiąc. Pobladła, a oczy jej błyszczały prawie posępnie w zbielałej twarzyczce.

Sawinski, który umiał zachowywać niewzruszoną zimną krew i jednostajny, pogodny humor w najgorętszych, finansowych rozprawach, zmięszał się wobec tak wręcz postawionej kwestji. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Miałże zdradzić samego siebie! Zawahał się, zaczął coś bełkotać, ogólnikowo o wyjątkowych okolicznościach, o trosce tak naturalnej w dzisiejszych zawichrzonych czasach, jaką mógł budzić u każdego los drogich mu istot.

A gdy tak mówił, wstydził się sam, że w tak ważnej chwili nie może się zdobyć na żaden określony postulat. Zakończył zdaniem nie mającem również żadnego znaczenia:

— Pragniemy tylko twego szczęścia, droga pani.

Zdziwiło go, że Lydja zdawała się zadowoloną z tej dwuznacznej odpowiedzi i nie kładła dalszego nacisku na pytanie, jakie mu postawiła. Zdawała się być teraz spokojniejszą, szczęśliwszą i zmieniła przedmiot rozmowy, wypytując go, co robił od powrotu do Piotrogrodu.

W nagłym przystępie szczerości Sawinski powiedział jej, że miał wczoraj wizytę Simeonowa w Banku, że ten człowiek rozdrażnił go i wyprowadził ze zwykłej zimnej krwi, że ostatecznie on, Sawinski lęka się, że zrobił sobie z niego wroga. Powtórzył jej też słowa Simeonowa o wartości życia ludzkiego.

Lydja, która słuchała z wielkiem zajęciem, przerwała mu i rzekła z żywością:

— Ten człowiek może się stać bardzo złym, Mikołaju Władymirowiczu. Nie lubię go i boję się go. Strzeż się pan, żeby nie pomyślał o zemście. On jest teraz wszechwładnym, jak się zdaje.

Sawinski wzruszył ramionami.

— Trudno, stało się — rzekł fatalistycznie. — Jesteśmy w rękach Boga, Lydjo Siergiejewno.

Lydja popatrzyła na niego i wydał jej się bardzo zmęczonym.

Zadumała się na chwilę. I znów twarz jej przybrała wyraz poważny; usta się ściągnęły.

— Chcę panu zadać jeszcze jedno pytanie. Nie śmiej się ze mnie, Mikołaju Władymirowiczu. Czy naskutek rozmowy z Simeonowem nie pomyślałeś pan o ucieczce do Finlandji?

Sawinski popatrzył na nią zdziwiony, jakgdyby nie rozumiejąc, o co go właściwie pyta.

— O ucieczce do Finlandji? Ja?.. Dlaczego? Ani mi to do głowy nie przyszło...

Lydja odczuła, że mówił prawdę. I znowu nastąpiło długie milczenie. Przerwał je służący, który wszedł z oznajmieniem, że obiad podany. Sawinski wstał i chciał się pożegnać z Lydją. Zatrzymała go.

— Poczekaj pan chwilkę — rzekła. — Schodzę z panem. Daj mi pan minutę, żebym się uczesała.

Siadła przed toaletą i podniosła ciężkie fale włosów, opływające jej ramiona i plecy. Rozczesała je, skręciła w wielki węzeł z tyłu głowy i spięła dużym grzebieniem. Sawinski, nic nie mówiąc, patrzył na nią.

Zdawało mu się, że ta obecność jego w tej chwili stworzyła jakieś nowe ogniwo pomiędzy nimi, ogromna fala szczęścia zalała mu piersi. Nie myślał już o niczem. Wystarczało mu, że widzi ją przy sobie.

Gdy skończyła, wstała i gdy schodzili, rzekła mu tonem dziewczynki, która była niegrzeczną i chce się dowiedzieć, czy się jeszcze na nią gniewają:

— Pójdzie pan jeszcze ze mną na przechadzkę, Mikołaju Władymirowiczu? Wytłumaczę panu jedną ważną rzecz, której pan nie zrozumiałeś: a to, że wniosek tatusia i pański nie jest właśnie wnioskiem wypływającym z rewolucji. Rozumiesz pan, co chcę powiedzieć: takiego postanowienia nie należy powziąć właśnie dlatego, że żyjemy w pełni chaosu.

Sawinski przystanął zdumiony.

— Nie, nie rozumiem, wyznaję, Lydjo Siergiejewno. Co pani chcesz

powiedzieć przez to, na miłość boską?

— Oczywiście, że pan nie rozumiesz — rzekła zachwycona. — Jakżebyś pan mógł zrozumieć? To trochę za skomplikowane dla takiego jak pan człowieka. Wytłumaczę to panu kiedyś, przyrzekam.

Śmiała się wesoło i żartowała sobie z niego tak milutko, że Sawinski zaczął się także śmiać.

X.

NIEPRZYJEMNE ODWIEDZINY.

Sawinski obudził się późno nazajutrz, po prawie że nieprzespanej nocy. Gdy się ubierał powoli, zadzwoniono. W chwilę potem pokojówka podała mu bilet wizytowy z objaśnieniem, że ten pan pragnie się z nim widzieć. Sawinski przeczytał na bilecie:

„Bogdanow, podkomisarz dzielnicy Kazańskiej".

Sawinski ściągnął brwi. Co u djabła mogła chcieć od niego policja dzielnicowa? Po raz pierwszy zjawiała się u niego.

Dotychczas miał z nią do czynienia tylko za pośrednictwem domowego komitetu.

Wszedł komisarz. Był to żydek niski, suchy, blady, w okularach.

Wyrażał się bardzo grzecznie. W kilku słowach powiadomił Sawinskiego o celu swych odwiedzin. Robiono przegląd pasportów, przyszedł więc prosić Sawinskiego, by mu użyczył swój pasport na parę dni.

Sawinski sprzeciwił się bardzo żywo. Nie mógł w żaden sposób pozbywać się swego pasportu. Cóż by się z nim stało w mieście, gdzie aresztowania uliczne były na porządku dziennym? Zresztą miał wizę na wolny przejazd do Finlandji, gdzie przebywała jego rodzina i gdzie mógł być zawezwanym lada chwila.

Komisarz skłonił się z uszanowaniem.

— Rozumiem, Mikołaju Władymirowiczu, rozumiem. Jest mi to niewymownie przykrem. Zechciej pan wierzyć. Dałbym wiele, żeby panu oszczędzić tej nieprzyjemności. Ale, niestety, rozkaz jest formalny i ogólny. Wszystkie pasporty muszą być zawizowane przez komisarza... Namnożyło się wiele fałszywych pasportów ostatniemi czasy. I stąd to rozporządzenie.

Sawinski obstawał przy swojem. Zatelefonuje sam do ministerjum Spraw Zagranicznych i załatwi tę sprawę. Żydek odpowiedział, że rzecz ta nie należała do Spraw Zagranicznych lecz do komisarjatu dzielnicy.

Sawinski zwolna tracił panowanie nad sobą. Komisarz przeciwnie był wciąż uśmiechnięty, pełen szacunku, ale stał twardo przy swojem.

— A jeżeli pan otrzymasz rozkaz od samego Simeonowa? — spytał Sawinski.

Na dźwięk tego nazwiska komisarz skłonił się. Twarz jego przybrała wyraz ironiczny, co nie uszło uwagi Sawinskiego.

— Bezwątpienia — rzekł komisarz — bezwątpienia. Jeżeli Leon Borysowicz zapośredniczy, sprawa weźmie inny obrót... To będzie ogromny wyjątek, upewniam pana... Ale osobiście będę bardzo szczęśliwy, chciej pan wierzyć, bardzo szczęśliwy...

Sawinski już brał słuchawkę telefonu. Na nieszczęście Simeonow nie pojawił się jeszcze w komisarjacie Spraw Zagranicznych. Na dzwonek do jego mieszkania jakiś męski głos, zapytawszy Sawinskiego o nazwisko, odpowiedział natychmiast, że Leon Borysowicz tylko co wyszedł. Gdzie poszedł? Nie wiedziano.

Sawinski powiesił słuchawkę. Był bardzo rozgniewany.

— Przepraszam — rzekł — iż pan poczekasz, póki się nie połączę z Simeonowem.

Żydek westchnął.

— Muszę przynieść pasport — rzekł. — To, doprawdy, bardzo przykre... Ale, pojmuje pan, jestem zmuszony... A tak bym chciał zadosyć uczynić życzeniu pana. Ale, niech pan sam osądzi. Mam taki rozkaz.

Jego grzeczność wydała się Sawinskiemu przesadzoną i brzmiała fałszywie. Wyjął zegarek.

— Jedenasta — rzekł — zostaw mi pan czas do dwunastej. Wróć pan potem; a do tego czasu znajdę przecież Simeonowa.

Komisarz pobladł i uczynił ruch przerażenia.

— To niemożliwe — rzekł — pan sam rozumie. Jakby to powiedzieć... Ale pan pojmuje...

— Nic zgoła nie pojmuję — odparł Sawinski rozdrażniony.

I nagle zrozumiał. Bogdanow bał się, aby nie skorzystał z tej godziny i nie uciekł.

— Pan się lękasz, żebym się nie ulotnił — rzekł, śmiejąc się. — A! A! teraz widzę, jak rzeczy stoją. I oczywiście nie poprzestaniesz pan na mojem słowie honoru.

Bogdanow zaprzeczył przez grzeczność; ale jasnem było, że tego właśnie się lękał.

Widząc, że niema rady, Sawinski podszedł do biurka, wyjął z niego pasport i podał żydkowi, który się giął w ukłonach.

— Dziękuję panu, Mikołaju Władymirowiczu. Zostawię panu, oczywiście, pokwitowanie, które panu posłuży za dowód tożsamości, dopóki nie zwrócę panu pasportu.

I podał mu arkusz, opatrzony pieczęcią komisarjatu, na którym wypisał numer pasportu i inne wskazówki, tyczące się osoby, której ten kwit został wydany, poczem wyszedł.

— Jestem tedy więźniem — powiedział sobie Sawinski — więzienie jest obszerne, bo to Rosja; ale niemniej jest więzieniem.

Przez godzinę poszukiwał Simeonowa telefonicznie. Nie znalazł go ani w mieszkaniu, ani w komisarjacie Spraw Zagranicznych, ani w Smolnym. Simeonow jakby się w ziemię zapadł. Zniechęcony zaprzestał daremnych telefonów, obiecując sobie spędzić popołudnie w dawnem ministerjum na Pałacowym Placu.

Tymczasem udał się do Iwana Szupow-Karamin. Ten był w domu. Sawinski zapytał go, czy i im także zabrano pasporty? — Nie; nic podobnego nie miało miejsca.

To dało Sawinskiemu do myślenia. Był w tem niewątpliwie jakiś manewr sprytnego Simeonowa, który obrał ten sposób, aby dać uczuć swemu szanownemu przyjacielowi Sawinskiemu zależność, w jakiej go trzymał.

Wyszedłszy od Szupow-Karamina, Sawinski udał się przez dziedziniec do pałacu Wołyńskich. Trzeba było uprzedzić Lydję, że nie będzie mógł wyjść z nią popołudniu: bo dopóki sprawa pasportu nie będzie załatwioną, on nie zazna chwili spokoju.

Był szalenie zdenerwowany; ale widok Lydji, którą zastał samą w salonie, podziałał na niego kojąco. To też opowiedział jej żartobliwie ranną przygodę. Lydję zastanowił w tem wszystkiem fakt, że Sawinski nie mógł wyjechać z Piotrogrodu. Musiał jej to powtórzyć dwa razy.

— Jesteś pan więźniem tutaj — rzekła.

I uświadomiwszy sobie dobrze tę okoliczność, zlękła się, że bolszewicy mogą go prześladować.

— To część tej gry, którą gramy pomiędzy sobą — uspokoił ją Sawinski. — Sądzę, że mam jeszcze dosyć wpływu na Simeonowa, aby tę sprawę załatwić.

Dalszy ciąg nastąpi.